

Kastory, Andrzej / Zamojski, Jan E.

Ranking polityków

Dzieje Najnowsze 31/2, 79-88

1999

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Ranking polityków

Jan E. Zamojski

Warszawa

Rola wielkich postaci w historii to temat tak stary jak sama historia. To o nich przecież mówi *Stary testament*. Na *Zywotach sławnych mężów* Plutarcha wychowywały się niezliczone pokolenia kandydatów na ich dziedziców, obowiązkowa lektura szlacheckiej młodzieży, jeśli miała chęć do nauki i ambicje, by coś osiągnąć w służbie publicznej. Można więc o tym w nieskończoność. Również jeśli idzie o interesujące nas dwie wojny światowe... Nawiasem mówiąc — ciekaw bym był, jakąż to listę „wielkich postaci”, kształtujących historię, sporządzilibyśmy wraz z charakterystyką, gdyby włączyć do naszej refleksji jeszcze wojnę trzecią, „zimną”, nie tak dawno przerwana. Mówię — przerwana, a nie zakończoną, gdyż wielkie wojny mają to do siebie, sądząc po tych właśnie trzech, że z wyników poprzedniej wyrastają przesłanki następnej.

Wróćmy do naszego tematu. Niewątpliwie do tych postaci, które wywarły największy wpływ na wydarzenia II wojny światowej należą: Stalin, Hitler, Churchill i Roosevelt. Gradacja ich byłaby trudna, gdyż najpierw trzeba byłoby ustalić jej kryteria. Bez pretensji do słuszności chciałbym tu przedstawić kilka własnych refleksji. Otóż, wojna, zwłaszcza światowa, nie jest przecież celem samym w sobie, lecz środkiem do osiągnięcia zamierzonych celów, które możemy określić jako strategiczne, względnie jako polityczne. Powstaje więc problem, jak pod tym względem prezentuje się wskazana czwórka?

Sądzę, że najbardziej dalekosiężne, choć trudne do źródłowego zdefiniowania, cele strategiczne w odniesieniu do dojrzewającej wojny miał **Stalin**. Wiele wskazuje na to, że zasadnicze wizje, żeby nie rzec koncepcje, wykorzystania przezeń (upraszczam) konfliktu, zrodzonego z ambicji hitlerowskiej III Rzeszy, zarysowały się już w 1938 r. i dojrzały po Monachium. Istota ich sprowadzała się do triady: nie przeszkadzać, nawet sprzyjać, nie sprzymierzać się, do wojny zaś wejść w momencie, gdy to da wpływ decydujący na jej wynik. Los Polski był jednym z elementów tej gry, być może najważniejszym, gdyż detonującym wojnę i uruchamiającym bieg wydarzeń. Celem zaś gry było w pierwszej kolejności rozszerzenie obszaru socjalistycznego na bliskie terytoria (i tu, i dalej używam uproszczonych określeń bez oglądania się na sprecyzowania terminologiczne...), w dalszej zaś wywołanie rewolucyjnego przeobrażenia co najmniej Europy, a może i Azji (Mao Tse-tung!). Te koncepcje strategiczne miały swe korzenie w leninowskiej doktrynie polityki zagranicznej ZSRR, w sensie wojskowym były już formułowane w połowie lat dwudziestych, dojrzywały zaś w połowie lat trzydziestych (słynne manewry 1936 r. i film o przyszłej wojnie). Pomijam tu kontrowersje między

koncepcjami Tuchaczewskiego i innych oraz Swieczina i innych, z tragicznym finałem dla obu, a także załamanie z okresu „wielkich czystek” i błędów w interpretacji doświadczenia wojny w Hiszpanii. Nie zmodyfikowały one myślenia strategicznego Stalina. W dyskusjach na temat „wojny przewencyjnej”, jakie toczą się obecnie w Rosji, pojawia się coraz więcej faktów dotyczących tej kwestii, aczkolwiek, moim zdaniem, sama dyskusja toczy się wokół błędnie postawionej tezy, gdyż istota rzeczy tkwi nie w tym, czy Stalin zamierzał uderzyć przewencyjnie w 1941 r., lecz w generalnej wizji wojny, jaką miał wówczas Stalin, oraz jego ocenie momentu i charakteru włączenia się do niej. Wydarzenia, jakie nastąpiły po 22 czerwca 1941 r. tylko, jak sądzę, zmodyfikowały realizację strategicznej idei Stalina co do postępowania ZSRR w warunkach światowego konfliktu i ograniczyły jej zasięg do pierwszego etapu z elementami następnego. Pod tym względem osiągnął on swe cele.

Hitler niewątpliwie miał wizję wielkiego celu, jaki stawiał przed Niemcami, przed III Rzeszą. Miał też określoną strategię. Był jednakże w niej rozdarty między zasięgiem swych ambicji i imperatywami doktryny politycznej, a raczej — ideologii oraz możliwościami, najszerzej pojętymi, ich realizacji, co powodowało z jednej strony rozmaite niekonsekwencje w jego działaniu, a przede wszystkim ujawniało się w sprzecznościach w odpowiedzi na podstawowe pytanie — kto jest głównym wrogiem i gdzie znajduje się kierunek głównego wysiłku, z drugiej zaś prowadziło do wymuszonej przewagi celów operacyjnych i taktycznych nad strategicznymi. W klasycznej nauce wojskowej mówi się o przewadze, w sensie szans na sukces, działań na „liniach wewnętrznych” nad działaniami „na liniach zewnętrznych”. W strategii Hitlera przeważały, czy też musiały przeważać, te drugie ze znanymi następstwami. Nie zmienia to w niczym absolutnie decydującej, indywidualnej roli Hitlera, jeśli idzie o kolejność wydarzeń wojennych na zachodniej półkuli, a przede wszystkim o los Niemiec. Żaden człowiek z jego otoczenia, jak sądzę, nie może być traktowany jako współtworzący jego decyzje, nawet w tym zakresie, w jakim występował Mołotow przy Stalinie. Natomiast miał Wehrmacht niewątpliwie całą plejadę świetnych dowódców szczebla operacyjnego — Rommel, Guderian, Manstein, dowódców morskich, lotniczych. Listę można byłoby wydłużyć. Gorzej było ze szczeblem strategicznym. Ani Keitel, ani Jodl niczym się nie wyróżnili.

Mam bardzo złożoną opinię o **Churchillu**. Nie wiem, czy można mówić o jakiejś wielkiej wizji strategicznej Churchilla. Jeśli — to tylko jako o strategii defensywnej, strategii przystosowania się do rozwijającej się sytuacji, przy niezbyt wielkich sukcesach w jej tworzeniu, wykorzystywania otwierających się możliwości (USA, ZSRR). W jego koncepcjach, pomysłach, sugestiach, w czym był wielce płodny, dostrzec można przywiązanie do tradycyjnej w brytyjskim myśleniu strategii działań pośrednich. Gdybyśmy chcieli jakoś zdefiniować cel strategiczny Churchilla, to myślę, że za taki należałoby uznać obronę istnienia Imperium Brytyjskiego, ocalenie go za wszelką cenę. Wiadomo przecież, że w jego niezłomności był okres wahań, że w 1940 r. nie były mu obce myśli o jakimś ułożeniu się z Niemcami, że później z pełną świadomością poddał się przewodnictwu Roosevelta, a więc USA, starając się jednakże osłonić imperialne interesy W. Brytanii przed jego „misjonarstwem” antykolonialnym, że w imię interesów brytyjskich szedł na wszelkie kompromisy ze Stalinem, mając o wiele wyraźniejszą aniżeli Roosevelt świadomość moralnej i politycznej ceny tych kompromisów. Powtarzał wielokrotnie, że nie chce być grabarzem Imperium Brytyjskiego. Niewątpliwie ten cel osiągnął, choć w dwa lata później Korona Brytyjska straciła swą najcenniejszą perłę — Indie i rozpoczął się demontaż Imperium. Dla mnie osobiście Churchill jest w dużej mierze postacią tragiczną. Misję narzuconą mu przez historię wypełnił. Anglia odpłaciła mu niewdzięcznością, choć

trudno orzec, w jakiej mierze była to niewdzięczność, a w jakiej mądrość starej demokracji („Bóg wie, co stałoby się z nami bez niego, ale Bóg wie, co może stać się z nami przy nim!”).

Pozostaje **F. D. Roosevelt**. Jego roli nie można sprowadzać do okresu II wojny światowej. Ameryka mogła stać się tak łatwo i w takim stopniu „arsenałem demokracji” i osiągnąć sukcesy wojenne bardziej dzięki przewadze materialnej i technicznej aniżeli talentom jej dowódców, w dużej mierze w następstwie sukcesów Rooseveltowskiego „New Deal’u”, z jego metodami państwowej ingerencji w gospodarkę. W czasie wojny zastosowano je na olbrzymią skalę.

Pytanie, czy **F. D. R.** — jak go nazywano — miał wizję strategiczną nadciągającej wojny i roli w niej USA? Sądzę, że tak. Potwierdza to jego bardzo konsekwentna polityka „wpełzania” przez USA w wojnę mimo silnych przeciwdziałań, z jakimi się spotykał nawet we własnej administracji, konsekwentne trzymanie się zasady „Europe — first!” wbrew tym, którzy uważali wojnę na Pacyfiku za jedyną, autentyczną wojnę Stanów Zjednoczonych, a także jego odporność na różne pomysły strategiczne Churchilla, m.in. w odniesieniu do wariantu bałkańskiego. Wiosną 1938 r. powiedział do Bullita, ambasadora USA w Paryżu, uprzednio zaś w Moskwie, bardzo bliskiego sobie człowieka, że „nie zaczniemy tej wojny, ale na pewno ją zakończymy”. Tak się też stało, choć samego zakończenia jej Roosevelt nie doczekał.

Jest jeszcze drugi, nie tylko militarny aspekt strategii Roosevelta w latach II wojny — przekształcenie USA w czołowe mocarstwo świata, m.in. przez zburzenie starego porządku, w którym dominowały wielkie imperia kolonialne. Ten cel **F. D. R.** formułował wielokrotnie i bardzo otwarcie, ku przerażeniu Churchilla, USA zaś niewątpliwie przyczyniły się w niemałym stopniu do wzbudzenia procesu późniejszej dekolonizacji.

Jeśli idzie o Francję w II wojnie światowej, to postać **de Gaulle’a** góruje nad wszystkimi. Jestem daleki od bałwochwaltwa gaullistowskiego, więcej, wiele w nim mi się nie podoba, zwłaszcza w jego stosunku do ludzi, którzy spełniali jego misje. Sądzę jednak, że dzieje jego poczynań w latach 1940–1945 winny stać się przedmiotem obowiązkowych studiów dla tych wszystkich, którzy chcą osiąść sztukę myślenia i działania strategicznego, w tym przypadku — sztukę osiągnięcia sukcesu strategicznego, mając na początku „gry” niezwykle mizerne karty, grając za pożyczone pieniądze, z niezbyt uczciwymi partnerami.

De Gaulle miał jasną wizję swego celu strategicznego. W płaszczyźnie zewnętrznej pragnął przywrócić wielkość Francji, wprowadzić ją ponownie do grona wielkich mocarstw, w płaszczyźnie wewnętrznej — uchronić ją od konfliktów społecznych i wielkich rozliczeń politycznych, zapewnić względną spójność narodu i utrzymać instytucje państwa francuskiego. Wszystkie jego poczynania, a on i tylko on był ich autorem, były podporządkowane osiągnięciu tych celów. I bez wątplenia — osiągnął je. Na ogół kładzie się nacisk na sukcesy **de Gaulle’a** w tej pierwszej sferze. On sam jednak łączył je ściśle, a nawet nie wiem, czy do tej drugiej nie przywiązywał większej wagi. To po to właśnie już w 1942 r., nie bez oporów, zadeklarował swą wierność Republice, choć miał tu wiele zastrzeżeń wywołanych doświadczeniami III Republiki, usunął ze swych wystąpień termin „rewolucja”, na rzecz bardziej neutralnej „renowacji”, a w 1944 r. uczynił maksimum, by przywrócić tradycyjne struktury społeczne, z pełną świadomością ich wad, wmawiając Francuzom, że wszyscy byli „Resistantami”, a tylko nieliczni zdradzili, za co ich ukarano. Kozłem ofiarnym stał się **Laval**, na noszach dowleczony pod szept egzekucyjny, i jeszcze paru zbłąkanych intelektualistów oraz drobnych płotek. Notable w większości utrzymali swe pozycje. Sumienie Francuzów oczyszczono na blisko 20 lat, do chwili, gdy nowe pokolenie usiłowało ponownie spojrzeć na przeszłość ojców.

A inne postacie? Na czoło wysuwa się tu **Jean Moulin**. Odpowiada on wszelkim kryteriom bohatera gaullistowskiej formuły Resistance. Moim jednak zdaniem o wiele większe zasługi

ma **Jean Bingen**, jeden z jego następców, zdradzony (popęłił samobójstwo po aresztowaniu) tuż przed wyzwoleniem. Jego grzechem była jednak bezlitosna krytyka de Gaulle'a w ostatnim, przedśmiertnym raporcie. To była „obraza majestatu”, a tego Generał nie wybaczał.

Mowa była o Francji czasów I wojny światowej. Sądzę, że ocena roli Pétaina jest przesadna. Wielu współczesnych, z Clemenceau włącznie, było wobec niego niezwykle, wręcz brutalnie krytycznych. Do pojawienia się czołgów utrwalił się na froncie zachodnim impas „ognia i ruchu” i o żadnej sztuce wojennej nie było mowy. Naczelną zaś dewizą Pétaina było „Le feu tue”, „Ogień zabija”. Nie było to odkrywcze ani inspirujące. Co do jego zasług zaś w zaprowadzeniu dyscypliny w okresie rozprężenia, jakie ogarnęło armię francuską w 1917 r., to dziś patrzy się na to zupełnie inaczej. Upadek dyscypliny i zaburzenia w armii były następstwem przede wszystkim śmiertelnych dla żołnierza skutków głupoty generałów, ich lekceważenia życia żołnierzy, szafowania bez sensu losami milionów ludzi. Dlatego postuluje się dziś rehabilitację straconych wówczas, wpisanie ich nazwisk na pomniki poległych w gminach Francji. Anglicy zaś stawiają swoim ofiarom tego okresu pomnik.

Nasuwa mi się tu osobiste wspomnienie. Jesienią 1944 r., w walkach na północ od Pragi, nasza bateria mocno uszkodziła pewną willę, w której później przez parę dni stacjonowaliśmy. Przez rozwaloną ścianę wysypały się książki zasobnej biblioteki. Znalazłem wśród nich *Na zachodzie bez zmian* Remarque'a. Czytałem już tę książkę wcześniej, ale dopiero tu, na froncie, odczułem całą prawdę i siłę jego opisu. Nie dziwię się więc tym, którzy nie wytrzymali presji błota okopów i głupoty generałów.

Kilka słów o postulowanych „kandydatach” na czołowe miejsca wśród dowódców Armii Radzieckiej. Lansuje się i wcześniej, i dziś **Żukowa**, stawia się mu w Moskwie pomnik-gigant. Uważam, że niesłusznie. Był to zapewne zdolny i sprawny dowódca, ale w jego stylu, a może nawet filozofii dowodzenia dominowały najgorsze, nazwijmy to, stalinowskie cechy — bezwzględność w dążeniu do celu, absolutne nieliczenie się ze stratami ludzkimi. Stalin wiedział, kogo wysuwa na czoło zwycięskiej generalicji. Żukow był zniechęcony na froncie, zniechęcony przez żołnierzy, przez oficerów. Bano się go, bano się łatwości, z jaką uciekał się do najostrożniejszych środków, do egzekucji włącznie. Wiele opowiadano o tym, ile dobra przywoził z Niemiec. Żukow sam w dużej mierze był twórcą mitu swej osoby, w czym pomogła mu późniejsza nielaska. Zupełnie inaczej oceniano **Czerniachowskiego**, **Rokossowskiego**, a zwłaszcza **Koniewa**. Natomiast ująłbym się za całkowicie zapomnianym, autentycznym współtwórcą zwycięstwa Armii Radzieckiej, gen. **Chrułowem**, który kierował jej zapleczem, zaopatrzeniem, dziś rzeklibyśmy — logistyką.

Nie zgadzam się z wypowiedzianą tu opinią o roli komisarzy. Po pierwsze — dość wcześnie tę instytucję zlikwidowano, wprowadzając funkcję zastępców dowódców ds. politycznych. Nie była to wcale tylko zmiana nazwy. Członkowie Rady Wojennej, na wyższych szczeblach dowodzenia, mieli swój udział w procesie podejmowania decyzji, prawo bezpośredniego kontaktowania się z wyższymi instancjami. Pod najważniejszymi rozkazami i dyrektywami był wymagany ich podpis, jednakże ich głos nie przeważał głosu dowódcy, a tym bardziej nie zawieszał jego rozkazów, jak to było w wypadku komisarzy. Po drugie zaś — z tego, co wiem — tylko w jednym przypadku komisarz wojenny wysokiej rangi wykorzystał w pełni swe uprawnienia, z fatalnym skutkiem. Był to Mechlis, osobistość ohydna. Późniejszy jego los jest nie do pozazdroszczenia.

Co do innych postaci, sądzę, że ocena **Kennana** jest przesadzona. Sam zresztą, po wielu latach, w artykule w „Foreign Affairs”, w 40-lecie „długiego raportu”, przyznał, iż co do wielu kwestii mylił się. Są też podzielone opinie co do rezultatów tego raportu. Sądzę, że rzeczywiste

zasługi Kennana dla dyplomacji USA związane są z funkcją dyrektora Akademii Dyplomatycznej (nie jestem pewien ścisłości nazwy), której utworzenie i prowadzenie powierzono mu po powrocie z Moskwy. Od tego dopiero momentu dyplomacja staje się w USA rzeczywistym zawodem, zajęciem profesjonalistów, polityka zagraniczna zaś realizacją koncepcji długotrwałej strategii.

Ograniczę się do tych tylko uwag, choć chciałoby się jeszcze podyskutować o rosyjskich i niemieckich dowódcach czasu I wojny światowej. Generalnie poza postaciami najwyższego szczebla (a i to nie zawsze — jaką rolę odegrał Mikołaj II, cesarz Wilhelm, Franciszek Józef?) ocena rzeczywistego znaczenia wielkich aktorów historycznych wydarzeń jest bardzo trudna. Po pierwsze jest to kwestia kryteriów, po drugie zaś — działają ciągle przemożne mity, jak w przypadku wówczas Brusilowa, a później Żukowa, których weryfikacja nie jest wcale łatwa.

Andrzej Kastory

Kraków

Sporządzenie rankingu polityków różnych państw jest trudne ze względu na to, że kryterium podstawowym bywa odmienna racja stanu. Ocena polityków amerykańskich z punktu widzenia ich zasług w polityce wewnętrznej, choć możliwa, jest niezbyt interesująca. Wręcz narzuca się uwzględnienie w tych rozważaniach polityki zagranicznej, a ściślej jej aspektu europejskiego. W okresie I wojny światowej rodziło się w Ameryce przeświadczenie o szczególnej misji Stanów Zjednoczonych w świecie. Zaowocowało ono nie tylko udziałem w obydwu wojnach, ale również próbami zaoferowania nowych zasad ładu międzynarodowego. Stany Zjednoczone w istocie w szczególny sposób wpłynęły na bieg wydarzeń w Europie.

Woodrow Wilson

4 lipca Woodrow Wilson mówił: „Ameryka jest stworzona, aby jednoczyć ludzkość (...) Moim marzeniem jest by, w miarę jak lata płynąć będą, a świat będzie coraz więcej i więcej wiedział o Ameryce (...) by zwrócił się on do Ameryki po te moralne natchnienia, które leżą u podstaw wszelkiej wolności; żeby świat nigdy nie obawiał się Ameryki, chyba gdyby czuł, że zaangażował się w jakieś przedsięwzięcie z prawami ludzkości niezgodne i żeby Ameryka stanęła w pełnym świetle dnia, gdy wszyscy wiedzie będą, że stawia ludzkie prawa ponad wszelkimi prawami i że sztandar jej jest nie tylko sztandarem Ameryki, ale sztandarem ludzkości”¹.

W grudniu 1918 r. na pokładzie „George’a Washingtona” mówił do współpracowników, na trzy dni przed przybyciem do Brestu: „na konferencji pokojowej delegacja amerykańska reprezentować będzie jedyny naród o stanowisku zupełnie bezinteresownym; będzie iść za głosem opinii ludzkości i wyrażać wolę ludów raczej niż wolę ich przywódców na konferencji. Nade wszystko zaś musi powstać organizacja, jakaś liga narodów, żeby równocześnie nadać pewność i elastyczność postanowieniom i ułatwić zmiany w nich, gdy minie czas obecnego podniecenia namiętności”².

¹ R. S. Baker, *Kształtowanie losów świata*, Warszawa 1924, t. 1, s. 40.

² Ibidem, s. 32.

Wilsona stawiałbym na pierwszym miejscu spośród amerykańskich polityków, pierwszy bowiem dostrzegł, że rosnąca potęga Stanów Zjednoczonych predestynuje je do szczególnej roli w świecie. Usiłował nadać amerykańskiej polityce wymiar globalny, dostosowując zasady ładu międzynarodowego do kanonu amerykańskich ideałów: „Rządy ustanowione są z ludzi, którzy słuszną swoją władzę wywodzą z zezwolenia rządzonych” (Deklaracja niezawisłości). Ład ów miał się opierać na prawie, a prawo egzekwowane być miało nie przez „wielkich szeryfów”, lecz przez międzynarodową organizację niepodległych państw. Oczywiście w ramach nowego ładu Stany Zjednoczone odgrywałyby rolę przywódczą. Prawo jednak miało chronić słabszych przed nadużyciami tej potęgi.

Wilson był najwyraźniej przekonany, że idea słusza zyska poparcie opinii (jest to skłonność wielu inteligentnych ludzi, ale nie jest to zaleta polityków). Stwierdziwszy, że Senat nie zatwierdzi traktatu wersalskiego przewidującego wejście Stanów Zjednoczonych do Ligi Narodów, postanowił odwołać się do opinii publicznej. W trakcie objazdu kraju uległ paraliżowi. Senat odrzucił traktat wersalski, a ściślej Pakt Ligi Narodów. Odbiło się to fatalnie na skuteczności regulacji pokojowych i było jednym z głównych elementów kruchości systemu wersalskiego. Forsując świetną ideę, Woodrow Wilson naruszył zasadę koniecznego przyzwolenia ze strony legislatury.

Franklin Delano Roosevelt

„Władca winien naśladować lwa, a zarazem lisa, jako że lew potrafi uniknąć pułapek, lis zaś bronić się przed wilkami. Rozważny władca nie dotrzymuje przyrzeczeń, jeśli dotrzymanie ich naraża na szwank jego sprawy” (Macchiaivelli, *Il Principe*). To właściwe motto kariery Roosevelta. Żaden prezydent od czasów wojny domowej nie stanął wobec tak trudnych problemów w polityce wewnętrznej, jak i zagranicznej. Roosevelt przewyciężył kalectwo, wyprowadził kraj z kryzysu (by nie wspomnieć o likwidacji prohibicji), wreszcie doprowadził do zwycięstwa w wojnie. Pierwsze zwycięstwo było zgoła niezwykle. W pozostałych cechował go pragmatyzm, graniczący często z cynizmem. Może to dziwić, skoro pozostawał pod dużym wpływem Woodrow Wilsona. w istocie jednak Roosevelt wyciągał praktyczne wnioski z klęski swego wielkiego poprzednika. Właściwie w żadnej sprawie nie dopuścił do powstania przepaści pomiędzy odczuciami amerykańskiej opinii publicznej a swoją polityką. Temu celowi służyła w latach wojny praktyka pokrywania frazeologią Karty Atlantyckiej brutalnych działań amerykańskiej dyplomacji. Na spotkaniu u wybrzeży Nowej Funlandii w sierpniu 1941 r. Roosevelt dał Churchillowi do zrozumienia, że będzie wojnę prowadził, ale jej nie wypowie. Na pierwszej konferencji prasowej po powrocie do Stanów, na pytanie, czy Ameryka jest bliżej wojny odparł zdecydowanie „Nie”. Natomiast w rozmowie z ambasadorem brytyjskim Halifaxem wyjaśniał, że jego kłopot polega na konieczności znalezienia drogi pomiędzy pragnieniem 70% Amerykanów pozostania poza wojną a pragnieniem 70% Amerykanów uczynienia wszystkiego, nie wyłączając wojny, by Hitlera pokonać³. Innym przykładem tej „techniki” dyplomatycznej było uchylenie się od dyskusji nad granicami dla Polski na konferencji w Teheranie. Miało to stworzyć wrażenie, że Stany Zjednoczone dochowują wierności Karcie Atlantyckiej. Choć wiadomo, że już w marcu 1943 r. Anglicy i Amerykanie osiągnęli porozumienie w sprawie uznania radzieckich granic sprzed 22 czerwca 1944 r.

Podobnie jak w wizji Wilsona, na straży ładu międzynarodowego miała stać organizacja zrzeszająca niepodległe państwa. Roosevelt zdołał przekonać opinię publiczną do Rosji jako

³ F. R. Lamb, *Churchill as War Leader. Right or wrong?*, London 1991, s. 81.

do sojusznika, co samo w sobie było nadzwyczajnym osiągnięciem i widział przyszły ład z perspektywy amerykańsko-rosyjskiego kondominium. Nie zdołał jednak przekonać Stalina do tej koncepcji. Deklaracja złożona w Jałcie, że Stany Zjednoczone wycofają się z Europy najdalej w ciągu dwu lat od zakończenia wojny, przed Stalinem zdawała się otwierać szczególne perspektywy. Roosevelt dopiero u schyłku marca 1945 r. zaczął mieć wątpliwości co do możliwości współpracy z Rosją. W sprawie Rosji nad pragmatyzmem w myśleniu Roosevelta górę brał dogmatyzm przypominający wiarę Wilsona w nieuchronne zwycięstwo tego, co słuszne. Efektem było stworzenie sytuacji, która sprzyjała wzrostowi rosyjskich apetytów. Umożliwiono więc Rosjanom naprzód odzyskanie granic zdobytych „w zbrodniczym spisku z Hitlerem” (marzec 1943 r.), a następnie objęcie wpływami całej niemal Europy Środkowej. Nie można mieć wątpliwości, że celem kolejnym w polityce Moskwy były Niemcy i Europa Zachodnia. Idea kondominium stworzyła zagrożenie dla świata i dla Stanów Zjednoczonych. Zapobiegła temu przenikliwość trzech mężów stanu Trumana, Marshalla i Kennana.

Harry Truman, Georges Marshall, Georges Kennan

Zapytany przez Henry Kissingera w 1961 r., jaką decyzję w swojej kadencji uważa za najważniejszą, Harry Truman odparł bez wahania: „Pokonaliśmy naszych wrogów, zmusiliśmy ich do poddania się. A potem pomogliśmy im w odbudowie, w stworzeniu systemów demokratycznych i włączeniu ponownie do wspólnoty narodów. Tego mogła dokonać jedynie Ameryka”.

Przejmując fotel prezydencki po Rooseveltcie, Truman był człowiekiem źle poinformowanym i wyraźnie niezorientowanym w problematyce międzynarodowej. Opierając się w pierwszych miesiącach na tym samym zespole doradców, którzy wspierali Roosevelta, mimo osobistej nieufności wobec Rosji, przez niemal dwa lata podtrzymywał pozory traktowania jej jako sojusznika, za czym przemawiało zrazu pragnienie pozyskania Rosji do czynnego udziału w wojnie przeciwko Japonii. Poza tym Amerykanie nie byli gotowi do kolejnej konfrontacji. Stąd żałosny kompromis w sprawie rządu dla Polski (dzieło Hopkinsa) oraz wycofanie wojsk amerykańskich w Niemczech przed konferencją poczdamską na wcześniej uzgodnioną linię demarkacyjną między strefami okupacyjnymi (dzieło Eisenhowera).

Truman dopiero na wiosnę 1946 r. przystąpił do rewizji tej polityki. Niewątpliwie jego zasługą było przyjęcie diagnozy Kennana zawartej w „długim raporcie” z lutego 1946 r. Kennan stwierdzał w swojej analizie, że Związek Radziecki „nieczuły na logikę argumentów, okazuje się bardzo podatny na logikę siły. Z tego powodu łatwo wycofuje się, gdy napotka gdzieś na silny opór. Jeśli więc przeciwnik dysponuje wystarczającą potęgą i wykazuje przy tym gotowość jej wykorzystania, w istocie rzadko musi to czynić (...) Wiele zależy również od zdrowia i siły społeczeństwa USA, bowiem światowy komunizm jest jak złośliwy pasożyt żerujący jedynie na chorej tkance”⁴. Jeśli Amerykanie nie zaoferują bardziej pozytywnego konstruktywnego obrazu przyszłości, wówczas uczynią to Rosjanie. Słowa te znalazły odbicie w orędziu Trumana do Kongresu z 12 marca 1947 r.: „posiew totalnych ustrojów utrzymuje się przy życiu dzięki nędzy i niedostatkowi. Rozrasta się i płeni na złej glebie ubóstwa i walki. Osiąga pełnię rozwoju, gdy naród traci nadzieję na poprawę warunków życia”⁵. Konsekwencją tej diagnozy była decyzja o „pozostaniu” Stanów Zjednoczonych w Europie, a więc przede wszystkim w Niemczech oraz na terenie Grecji i Turcji, którym udzielono pomocy 341 mln

⁴ G. F. Kennan, *Memoirs 1925–1950*, Boston–Toronto, s. 546–559.

⁵ K. Laptcz, *Stosunki międzynarodowe po II wojnie światowej. Lata 1945–1950*, Warszawa 1965, s. 156.

dolarów — kwoty stanowiącej 1/1000 kosztów, jakie Stany Zjednoczone poniosły w związku z II wojną, a która zapobiec miała rozpętaniu wojny kolejnej.

Realizatorem polityki Trumana był George Marshall, główny konstruktor zwycięstwa Stanów Zjednoczonych w wojnie, który mimo fiaska swojej misji w Chinach zachował na tyle autorytetu, by przejąć z początkiem 1947 r. urząd Sekretarza Stanu. To on na moskiewskiej konferencji RMSZ w marcu 1947 r. dostrzegł u rosyjskich rozmówców: „zimne zdecydowanie wykorzystania stanu, w jakim znajdowała się bezbronna Europa, dla propagowania komunizmu⁶; to on powołał Policy Planning Staff z Kenanem na czele i wreszcie zgodnie z jego zaleceniami zaproponował plan, który w istocie sprowadzał się do niecodziennego wezwania: „Nie byłoby pożądane ani skuteczne jednostronne formułowanie programu obliczonego na ekonomiczne odrodzenie Europy. Jest to sprawa Europejczyków. Inicjatywa winna wyjść od Europy. Rola Stanów Zjednoczonych polegać powinna na dostarczeniu przyjacielskiej pomocy w wypracowaniu europejskiego programu, a następnie w udzieleniu wsparcia temu programowi wszelkimi możliwymi środkami (...) Nie walczymy przeciwko żadnemu krajowi, przeciwko żadnej doktrynie, naszym jedynym wrogiem jest głód i nędza”⁷. W gruncie rzeczy było to wezwanie do zjednoczenia Europy, z którego skorzystało 16 państw. Stworzyły one fundament zintegrowanej Europy (dopiero w 1986 r. integracja europejska wykroczyła poza ramy stworzone przez Plan Marshalla). Ta trójka amerykańskich polityków swoimi działaniami przyczyniła się do powstrzymania środkami pokojowymi ekspansji komunistycznej Rosji i umożliwiła procesy integracyjne w Europie Zachodniej, a być może uratowała świat przed kolejną wojną światową.

Winston Churchill

Został premierem bez realnego zaplecza politycznego, w wyniku debaty nad kampanią norweską, za której fiasko był współodpowiedzialny jako I Lord Admiralicji. Funkcje premiera powierzono mu niechętnie i tylko dlatego, że lord Halifax misji tej nie chciał się podjąć. Churchill musiał zaprosić Chamberlaina i Halifaxa do rządu, by uzyskać poparcie partii konserwatywnej, w rezultacie odmówił rozliczenia osób winnych za fatalną sytuację Zjednoczonego Królestwa, ostrzegając: „Jeśli wdamy się w spory między przeszłością a teraźniejszością, przegramy przyszłość”⁸.

26 i 27 maja 1940 r., gdy Halifax proponował za pośrednictwem Włoch wysondować, jakie warunki Niemcy mogłyby zaoferować Anglii, Churchill oświadczył, „że jeśli Hitler byłby gotów zawrzeć pokój na warunkach przewidujących przywrócenie Niemcom kolonii i panowania nad Europą Środkową, nie byłoby to źle”. Jednakże zdecydowanie odrzucił możliwość sondowania w tej sprawie Włoch. Poparty przez Chamberlaina, wskazywał, że nawet dowiadywanie się na tym etapie, jakie mogłyby być warunki Hitlera, byłoby niebezpieczną oznaką słabości. Przy tym nie wierzył, by Hitler w obecnej sytuacji mógł zaoferować warunki, które pozwoliłyby Wielkiej Brytanii kontynuować zbrojenia — byłoby to z jego strony szaleństwo⁹.

W obliczu klęski Francji gotów był jej udzielić wsparcia politycznego. Zaakceptował, nie bez wahań, inicjatywę Jeana Monneta i René Plevena dotyczącą unii francusko-brytyjskiej, a gdy oferty te zostały odrzucone, zaatakował francuską flotę na redzie Mers el Kebir, by

⁶ H. Truman, *Memoirs*, New York, 1965, vol. 2, s. 132.

⁷ Keesing's Archives, 86598659A

⁸ M. Gilbert, *Churchill*, t. II, Poznań 1997, s. 680.

⁹ *Ibidem*, s. 150–152, 160.

dowieść własnemu społeczeństwu, a zwłaszcza Amerykanom, że Anglia, nawet osamotniona, będzie walczyć. Ten brutalny akt wobec niedawnej sojuszniczki przekonał — jak się zdaje — Hitlera, że rokowań z Anglią nie będzie.

Churchill był w istocie zdecydowany wojnę kontynuować i trudno uznać za frazes znane jego słowa: „przygotujmy się do czekającej nas próby i czynmy tak, aby ludzie po tysiącu lat istnienia Imperium Brytyjskiego i Wspólnoty Narodów nadal mówili: «To była ich najlepsza godzina»”¹⁰.

U podstaw jego polityki leżało przekonanie, że Stany Zjednoczone rychło przystąpią do wojny. Czynił wszystko, by to przyspieszyć. w obliczu klęski Francji pozwolił sobie nawet na swoisty szantaż, pisząc do FDR, że jeśli sprawy nadal będą szły źle, jego rząd zostanie zastąpiony przez inny, który podejmie negocjacje z Niemcami. W sierpniu 1940 r. zaproponował 99-letnią nieodpłatną dzierżawę baz morskich i lotniczych w Nowej Funlandii, na Bermudach, Bahamach, Jamajce, Antiguie, St. Luci, Trynidadzie i w brytyjskiej Gujanie w zamian za 50 starych niszczycieli, spośród których u schyłku 1940 r. tylko dziewięć nadawało się do użytku¹¹.

Wysyłając w czerwcu 1940 r. Crippsa do Moskwy, zamierzał wybadać, na ile w obliczu niemieckich zwycięstw dałoby się rozluźnić niemiecko-rosyjską współpracę. Rosjanom oferowano „dominującą” pozycję na Bałkanach, gdzie musieliby znaleźć się w konflikcie z Niemcami. W Londynie poważnie dyskutowano nad uznaniem radzieckich aneksji i tylko w przekonaniu, że nie wpłynie to na proniemiecką politykę Stalina, nie zdecydowano się na to.

Po wciągnięciu Rosji do wojny zdecydowanie najważniejszym celem Churchilla było utrzymanie jej w koalicji. Co najmniej do 1943 r. prześladowała go, podtrzymywana przez Majskiego i Stalina, obsesja, że Rosja może wyjść z wojny w porozumieniu z Niemcami. Ta obawa skłaniała go nie tylko do forsowania dostaw dla rosyjskiego frontu, ale również do ustępstw kosztem Europy Środkowej. W rezultacie do maja 1942 r. wyrażona została *de facto* przez Brytyjczyków gotowość uznania aneksji rosyjskich dokonanych kosztem państw neutralnych i nieprzyjacielskich, a do marca 1943 r. również kosztem Polski.

Z polskiej perspektywy było to zwykle wiarołomstwo ze strony sojusznika; dla Churchilla była to rezygnacja z celów drugorzędnych, by móc skutecznie bronić tego, co najważniejsze. W obronę granic wschodnich Polski Churchill w ogóle się nie wdawał („nie pęknie mi serce z powodu Lwowa”), natomiast do końca 1944 r. podejmował zabiegi o zachowanie Polski okrojonej, ale przynajmniej wolnej. Jego technikę dyplomatyczną najlepiej ilustruje porozumienie procentowe z października 1944 r. Churchill niejako oddawał Stalinowi „interior”, zachowując szanse bronięcia Rosjanom dostępu do wybrzeży egejskich, czy adriatyckich.

W żadnym momencie wojny Wielka Brytania nie mogła zakładać, że zdoła w Europie Środkowej przywrócić sytuację sprzed wybuchu wojny. Już w 1940 r. wyraźnie formułowano opinię, że bez względu na to, czy Rosja będzie u schyłku wojny sojusznikiem Wielkiej Brytanii, czy nie, to po pokonaniu Niemiec nikt nie wypowie jej wojny, by ją pozbawić nabytków w Europie Środkowej.

Pointa polityki Churchilla została zawarta w tytule ostatniego tomu pamiętników. Triumf nad Niemcami i tragedia, którą był nie tyle rozpad koalicji, co utrata wielkości przez Zjednoczone Królestwo. Nie można wykluczyć, że gdyby w maju 1940 r. powstał rząd Halifaxa, losy Anglii i Europy potoczyłyby się inaczej. Krytycy Churchilla wskazują, że *appeasement* wobec

¹⁰ Ibidem, s. 681.

¹¹ F. R. Lamb, op. cit., s. 75, 76–77.

Niemiec kosztowałby Wielką Brytanię mniej niż appeasement stosowany przez niego wobec Stanów Zjednoczonych i Rosji. Jednakże los państw, które poszły na współpracę z Niemcami, tej opinii nie potwierdza.

Gdyby przyjąć za punkt wyjścia stosunek polityków anglosaskich do naszych interesów, można by powiedzieć, że najbardziej przysłużyła się nam polityka Wilsona; w polityce Roosevelta Polska odgrywała zupełnie marginalną rolę. Roosevelt, mając na uwadze amerykańsko-rosyjskie kondominium, nie mógł wchodzić w kolizję z Moskwą z powodu tak dłań „błahego” jak Polska. Wielka Brytania była jednym z trzech państw, które Niemcy pokonały. Była jednak już za słaba, by to zwycięstwo wykorzystać. Nie miała w istocie najmniejszej możliwości narzucenia czegokolwiek Rosjanom w Europie Środkowej. W wyniku wojny Anglia utraciła dużo ważniejsze dla siebie pozycje niż Polskę.

Nie wolno jednak zapominać, że bez wsparcia ze strony Roosevelta, Trumana i Churchilla Polskę i inne kraje Europy Środkowej spotkać mógł o wiele gorszy los.